

Rozmowa Łukasza Guzka przeprowadzona z Marianem Zającem, Gdańsk, maj 2018

Nazywam się Marian Zajęc. Przyjechałem do Osiek w 1966, byłem tam do 1968. Ukończyłem Akademię Rolniczą w Szczecinie. W Osiekach byłem zastępcą dyrektora PGR, obejmującego kilka gospodarstw. Mieszkałem i stołowałem w ośrodku Wojewódzkiej Rady Narodowej z Koszalina [tam, gdzie odbywały się plenery]. Dyrektorem gospodarstwa był Romaszka, a komisarzem odpowiedzialnym za plenery, za moich czasów, był Jerzy Szweja, dyrektor tego ośrodka, historyk z Koszalina. On już nie żyje. Obserwowałem zwłaszcza jeden plener w 1967 roku. Miałem wtedy 26 lat.

Dla Koszalina, Ziemi Koszalińskiej, czyli nowopowstałego województwa, to było ważne wydarzenie. Przecież z całego świata przyjeżdżali do nas artyści, tacy jak pan Berlewi z Paryża. Zza żelaznej kurtyny! Prasa pisała o tej imprezie codziennie i tylko w pozytywnym świetle. Wiadomo, była cenzura i tak miało to być przedstawione. Władza wojewódzka była zadowolona, że ma w Osiekach taką imprezę. To było dla nich wyróżnienie.

Władze partyjne, z komitetu, stroniły od nas. Trzymali się z boku, nie uczestniczyli. Na zakończenie, jak był pokaz prac, to się pojawiali, ale w trakcie plenerów nigdy. Towarzystwo artystów było bardzo wesole. I a nuż by powiedzieli sekretarzowi jakieś własne zdanie. Gdyby taki sekretarz przysiadł się do Bogusza, to on by go wyrównał równo z trawą. No więc po co im tam było jechać? Takich ludzi władza omijała. Sekretarze partyjni bawili się na własnych imprezach. Wojewoda tylko wyrażał zgodę na koszty. W komitecie partii wiedzieli, że jest impreza i na pewno jakiś patron tam był i czuwał. Wiadomo, kontrola musi być, nie było wtedy imprezy bez kontroli. Komisarz musiał zdawać raporty o tym, co się tam działo. Wiedziałem, że oni tam są. W ośrodku pewnie były podstuchy, bo tam były szkolenia dla prezydentów i trzeba było wiedzieć, co oni myślą o władzy. Ale wszyscy czuli się swobodnie. Nikt tej kontroli nie odczuwał. Wszyscy się bawili i nie trzęśli ze strachu.

Artyści dawali nam, gospodarzom, czasami bardzo kłopotliwe zadania. Do komisarza, czyli Szweji, należało zwracać się ze wszystkim i on miał to załatwiać. Przykładem jest happening Kantora, gdzie musieliśmy zorganizować masę sosu pomidorowego. To było kilkadziesiąt kan, takich na mleko, pełnych sosu. Nie wiem skąd kierownik wziął tyle tego sosu. To musiała być droga impreza. Wtedy w północnej Polsce nikt pomidorów nie produkował. Pytam kierownika po co to? A on, że będzie happening pana Kantora. Osieki są dwa kilometry od Łaz, od morza. Na konkretną godzinę zawiozłem te kany do Łaz, dałem sprzęt, ludzi do pomocy. Okazało się, że na plaży zbudowano takie wały, dość okazałe, wlano wszystek ten sos pomidorowy i pięć, może sześć młodych dziewcząt tarzało się nago w tym sosie z piaskiem. Potem czytałem, że one wtedy zapomniały o życiu, o wszystkich problemach. Ten *Barbujaz erotyczny* wyzwolił w nich siły, które przeniosły je w jakiś inny świat.

W tym samym roku był drugi happening Kantora, koncert dyrygowania falami. Był zrobiony amfiteatr, krzesła stały w wodzie i na plaży. Kantor wszystko ustawiał sam, stawiał krzesło i mówił: tu ustawić rzqd. My przyszliśmy na koncert posłuchać fal. Ale potrzeba było czegoś mocniejszego oprócz szumu fal. Nagle, po lewej, tupot koni po plaży. Jeźdźcy na koniach, ale to nie były konie wierzchowe tylko masywne, robocze. Te konie załatwiałem z Osieka i z Kleszcz. One przeleciały po plaży w jedną stronę i w drugą. To była jak gdyby wstawka perkusyjna. Jeździł też traktor. Ja zezwoliłem kierownikowi, żeby

wytypował traktorzystę. Był też motocyklista. Na zakończenie dyrygent rzucał garściami ryb w publiczność. Przywieźli mu wiadro małych śledzi, i on miał je na postumencie, z którego dyrygował.

Najbardziej zafascynowała mnie impreza nad jeziorem Jamno. Przychodzę, a tam procesja idzie w kierunku jeziora. Więc dołączam do niej. Wszyscy idą w kompletnej ciszy. Co się stało, pytam. Ale nikt nie wiedział, bo to była tajemnica autora. Z przodu szło dwóch, którzy nieśli okno. Weszli na pomost i w demonstracyjny sposób rzucili to okno do wody. Jezioro jest płytkie, jest w nim dużo glonów. W wodzie byli już inni, którzy zaraz wyciągnęli to okno, całe w glonach. I procesja, z oknem, poszła spowrotem w kierunku ośrodka. W ciszy. Na terenie ośrodka były słupki, chyba do siatkówki. Powiesili na jednym z nich to okno. Potem wytypowany pewnie człowiek wziął dwoma rękami drąg i demonstracyjnie wybił szyby w tym oknie. Jakby się na tym oknie mścił. I koniec happeningu. Pytam komisarza, Jurka Szweja, co to jest. On mówi, że nie wie, ale przypomina mu to sytuację w małżeństwie, gdy mąż zostawia żonę, i po jakimś czasie na tej wolności wilczej wraca, a żona mówi: o bratku my tu już jesteście zorganizowani. A on wtedy wynajął piwnicę naprzeciwko żeby podglądać, obserwować żonę i dzieci. I znenawidził to okno. Dlatego to znenawidzone okno zostało tak potraktowane. Nikt nie wiedział o co chodziło i gdyby nie Jurek Szwej, to też bym do dziś nie wiedział. To była jego interpretacja, ale podejrzewam, że jako komisarz gdzieś o tym rozmawiał.

Moja żona, jeszcze w okresie studenckim, prowadziła w ośrodku bufet. Słyszała: „proszę mi zrobić dobrą kawę, nie taką dla normalnych ludzi” – to była pani Ptaszkowska. Wszyscy brani na zeszyt, ale potem się wypłacili. Bogusz przed wyjazdem wszystko uregulował. Bogusz tam rządził. I Ryszard Senicki z Koszalina. Wtedy, żeby przywieźć piwo, to nie wystarczył zaopatrzeniowiec. Musiał się w to włączyć przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, odpowiednik dzisiejszego wojewody. I załatwił, z Baltony, że przywieźli Radeberger. Bo artyści domagali się piwa i dobrych alkoholi. I to zostało spełnione. Bogusz był szczególnie aktywny w bufecie. Kanora tam nie widziałem. Panie też nie biesiadowały. Ale to Bogusz był duszą towarzystwa (i ci dwaj z Koszalina). Bogusz tydzień nie trzeźwił. Na koniec wrzucili go do taksówki na tylne siedzenie i tak pojechał do Warszawy. On mógł karcieć dyrektora czy komisarza, że coś jest nie tak. Czuł się tu bardzo pewnie. Warszawiak na prowincji jest ważny. Załatwiałem im bimber, w konspiracji. Mieszkałem wtedy w budynku gorzelnii. Do dzisiaj w Osiekach jest gorzelnia. Wtedy magazyny ze spirytusem były otwarte, kierownik miał klucz do kłódki i tyle było zabezpieczeń. Kierownik, Tadeusz Kawala, szedł z wiadrem i potem w bufecie dawał posmakować, spod stolika, z buteleczki. Tylko dla wyróżnionych. Ale w bufecie sprzedawać nie było można, bo byłaby afera.

Grupa biesiadna, z Boguszem na czele, to był Sienicki, Frantisek z Pardubic i Stanisław Bekasenas z Wilna. Bekasenas potrafił jednym pociągnięciem pokazać przestrzeń i naprawdę się ją czuło. Jak przychodziłem, to oni mnie zapraszali do swojego towarzystwa. I oni nauczyli mnie patrzeć na malarstwo. Sienicki pytał mnie: „Czy to ci się podoba? Nie wiem... Jak to nie wiesz! A czy kobieta się tobie podoba? To wiem. I obraz tak samo! Masz wiedzieć, czy się ci podoba czy nie. Trzeba być szczerym”. I to samo przekazałem wnukom.